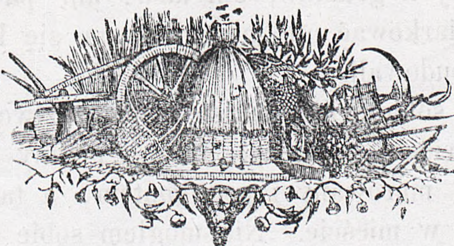
Tom XIII.



Nr. 14.

11. listopada **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pierścień pana Kościuszki.

O panu Kościuszce, wielkim naczelniku naszym, toby człek słuchał i słuchał, a nigdyby się nie mógł nasłuchać tych historji, co o nim starzy ludzie opowiadają. Bo też to i pan Kościuszko tak się zrósł z każdem sercem polskiem, że jeno wspomnij jego imię, a już człeku coś się i wesoło i żałośnie odrazu odzywa w duszy, a krew w żyłach jakoś aż cieplejsza się robi.

Niedawno temu opowiedziałem wam, mili wy moi ludzie, o panu Kościuszce, jak to on przebywał u sołtysa w Liplesie i jaką mu tam mogiłę poczciwa gromada usypała na wieczną pamięć swego naczelnika.

Widział ja ci i inną pamiątkę, którą pan Kościuszko zostawił po sobie a i o niej muszę wam tu napisać. Już temu kilka lat będzie, kiedym był na Wołyniu, co jest część kraju polskiego pod panowaniem Moskala. Otóż na tym Wołyniu jest mieścina mała Horochów, a niedaleko tej mieściny jest znowu pewna bardzo biedna wioszczyna. Kiedym przejeżdżał przez nią, aż mi żal serce ściskał, takie tu wszystko biedne! Chaty małe,

ledwie z kilku desek i z gliny zlepione, zagospodarowania nigdzie za grosz, a ludziska biedni okrutnie. Bo też ta wieś nie ma ani dobrych gruntów, ani lasu, ani pastwisk, tak że się człek i pomiarkować nie może, czemu się ludzie w takiej złej okolicy pobudowali.

Wystawcie sobie więc, jak się mocno zdziwowałem, kiedym w tej ubogiej wiosce zobaczył duży i piękny ruski kościół, (czyli cerkiew), murowany i pod gontem, a taki szykowny i porządny, jakby w mieście. Nie mogłem sobie tego na rozum wyłożyć, jak tacy ubodzy ludzie przyszli do takiego pięknego kościoła, a w końcu tak sobie pomyślałem:

— Muszą tu być bardzo pobożni wieśniacy, kiedy taką sobie cerkiew zbudowali, choć sami tacy biedacy. Toć to każdy gdzieś głodu przycierpieć musiał, aby się złożyć na tę ładną świątynię!...

Tak dumając sobie zobaczyłem przed jedną chatą starego już kmiecia. Zaraz też zatrzymałem się koło niego i pozdrowiwszy go, jak na Polaka przystoi, mówię:

— Piękną tu macie cerkiew, gospodarzu.

— A piękną, nie ma co mówić — rzecze staruszek — tylę też świecy i wosku w naszej gromadzie, bo jak widzicie reszta biedna i nędzna.

— A toć ja się właśnie nadziwić nie mogę waszej pobożności — mówię ja na to — żeście się dla chwały Bożej na taką cerkiew zdobyli.

A sędziwy kmieć na to:

— Aj panie kochany, a gdzież by nam stać było w naszej biedzie na taką piękną cerkiew! Nie ma co mówić, gorliwi i my jesteśmy o chwałę bożą, ale takiej cerkwi to o własnej sile nigdy byśmy byli nie pobudowali!

— A to pewnie ją dziedzic lub sam rząd postawił? — pytam dalej.

A kmieć na to:

— Dziedzic nie, bo mało co bogatszy, a Moskal także nie, bo on tam o to nie dba, jak sami wiecie! Z tą cerkwią to cała historya była.

— A toć opowiedźcie mi moiściewy kochani — zacząłem prosić kmiecia — bo ja już takiej natury, żem ciekaw okrutnie wszystkich takich historyj!

Na to mi mówi ów gospodarz:

— A czemuż bym wam nie miał powiedzieć, toć to wiedzą o tem wszyscy tutejsi. Ta cerkiew zbudowana została za pierścień polskiego naczelnika Kościuszki.

— Co też wy gadacie! — zawołałem — za pierścień pana Kościuszki?!... A tać to musi być piękna historja; opowiedzcież mi ją z łaski waszej, bardzo was o to proszę.

Gospodarz usłuchał mojej prośby, nałożył sobie fajeczkę tytoniem z mego kapczuczka i opowiedział mi historję, którą wam tu wypisuję.

Kiedy pan naczelnik przebywał w Polsce, wypadła mu raz droga na Wołyń i przejeżdżał akuratnie przez tę biedną wioskę. Wówczas zaś była w wiosce stara drewniana cerkiewka, taka nędzna jak wieś cała. Była już prawie na pół zawalona, i ledwie się trzymała na drewnianych słupach, któremi ją podparli ludzie, szpar i dziur było w niej mnóstwo, ściany już spruchniały, dach załamany i do połowy zgniłemi gontami a do połowy słomą pokryty.

Otóż pan Kościuszko jadąc przez wieś musiał mijać i tę starą, ubogą cerkiewkę. Było to gdzieś nad ranem, a że pan naczelnik był zawsze bardzo pobożnym i każdą sprawę od Boga zaczynał, więc też i ten dzień chciał rozpocząć modlitwą. Wstąpił tedy do cerkiewki, która właśnie była otwarta, bo coś tam w niej dzwonnik sprzątał.

W cerkiewce był w wielkim ołtarzu stary i piękny obraz Najśw. Bogarodzicy, przed którym z wielkiem nabożeństwem zwykli się byli modlić ludzie. Zamożniejsi zawieszali przy tym obrazie tak zwane wota czyli ofiary na cześć Najświętszej Panny, jak np. serca z srebra, krzyżyki itd.

Otóż przed tym obrazem ukląkł pan naczelnik Kościuszko i modlił się gorąco przez czas długi, a gdy już skończył poranną modlitwę, chciał jeszcze przy obrazie zostawić jakąś pamiątkę po sobie, bo właśnie wybierał się w obce kraje.

Zdjął tedy pan Kościuszko z palca swój pierścień, szeroką złotą obrączkę i powiesił ją przy obrazie, a potem opuścił cerkiewkę i pojechał dalej.

Dużo lat minęło od tego czasu. Pan Kościuszko umarł na obcej ziemi... Stara cerkiewka do reszty zniszczała. Ściany poczęły się coraz bardziej walić, tak że już podpieranie nic nie pomogło, dach załamał się w dwoje, a do środka zaciekała już woda. Zgryzota była wielka w gromadzie, bo lada chwila cerkiew zawalić się mogła do reszty — a tu gospodarze bardzo ubodzy nie mieli z czego zdobyć się nawet na naprawę, a cóż dopiero na zbudowanie świątyni pańskiej.

Tak rzeczy stały, kiedy trafiło się jednego razu, że przejeżdżał przez tę wieś jakiś pan bardzo bogaty i z ciekawości i nabożeństwa wstąpił do środka cerkwi. Tu począł oglądać obraz w wielkim ołtarzu i przepatrywać pozawieszane ofiarki, gdy mu naraz wpadł w oko ów złoty pierścień. Zdjęła go ciekawość, ktoby tu taką szeroką złotą obrączkę mógł zawiesić. Przypatruje się więc lepiej temu pierścieniowi i wyczytuje na nim takie nazwisko: Tadeusz Kościuszko.

Zdziwił się mocno i zaraz pobiegł do księdza, aby się bliżej o ten pierścień wypytać. Ksiądz zawołał dzwonnika, i pytają go się wraz z panem, czy nie widział kto ten pierścień tu zawiesił? Dzwonnik opowiedział zaraz, że widział tego pana, co go ofiarował, i opisał całkowicie, jak wyglądał.

— A wszak to był sam Kościuszko! — zawołał pan, który z tego opisania domiarkował się tego, że to nie był nikt inny. Mówi tedy do księdza:

— A toż wy księże macie w waszej cerkwi skarb nieoceniony, bo taka pamiątka po Kościuszce warta bardzo dużo!

— Wiem ja o tem — rzecze ksiądz — że pierścień ten po panu naczelniku drogi jest każdemu Polakowi i cieszy mnie to bardzo, że nasza cerkiewka ma taki piękny upominęk. Ale cóż z tego kiedy sama cerkiewka, nędzna już i stara, prawie się już zawaliła i wstyd człeka zbiera, że w takiej nędznej szopce Boga chwalić musimy.

— Proboszczu — mówi na to pan — posłuchaj mnie Ten pierścień wiele dla mnie znaczy, bo on był na tej samej

ręce, co szablę wznosiła za naszą ojczyznę! Ja służyłem pod panem naczelnikiem, a pamięć jego droższa mi jest nad wszystkie skarby świata. Jestem bogaty i kupię ten pierścień. Dam za niego tyle, ile zażądacie, dam taką sumę, że wystarczy na odbudowanie nowej cerkwi! A choć tu w waszej wsi już nie będzie pierścienia pana Kościuszki, to przecież zostanie wam po nim pamiątka piękna, bo nową cerkiew za jego pierścień mieć będziecie.

Ksiądz zdziwiony bardzo wysłuchał mowę pana a nadzieja, że może tym sposobem przyjdzie ubogie sioło do nowej świątyni, bardzo go ucieszyła. Nie mógł się jednak odrazu zgodzić na życzenie pana, bo nie śmiał tak sam z własnej woli rozrządzać tym pierścieniem, co go pan Kościuszko zawiesił Matce Boskiej na ofiarę.

Pan ów przyznał, że ksiądz ma słuszność, ale nie odstąpił od swego zamiaru, jeno pojechał do samego biskupa, a biskup dał na to pozwolenie, aby pan ów kupił ten pierścień, a za pieniądze aby wystawiono nową cerkiew we wsi.

I tak się też stało. Pan sypnął grubo pieniądzmi za pierścień pana Kościuszki, a za te pieniądze zbudowano tę piękną cerkiew, o którą mnie pytaliście.

— My tu zaś wszyscy w gromadzie — kończył swą opowiadkę stary gazda — uważamy tę cerkiew tak, jakby ją nam sam pan Kościuszko zbudował i zawsze mamy w sercu i w pamięci jego imię, i modlimy się za niego w tej nowej i pięknej cerkwi.

Ja pochwaliłem tę wdzięczność gromady i poszedłem do cerkwi, ukląkłem tam przed wielkim ołtarzem, gdzie ongi modlił się pan Kościuszko, i ucałowałem z pokorą ziemię. A potem pomodliłem się serdecznie do Boga za naszym krajem i za nami Polakami! A kiedy wyjeżdżałem ze wsi pomyślałem sobie:

— Mój ty mocny Boże! Co to za mąż wielki i szlachetny Polak był ten nasz pan naczelnik i w jakiej musi być teraz łasce u Boga, kiedy tak wszystko, co tylko zrobił za życia, tyle nauki, pociechy i pożytku sprawia nam jego rodakom!...

Smierć lirnika.

Wypadek, który się zdarzył za ostatniej wojny z Moskalami.

Srogą zimą wedle drogi,
Gdzie się bielą niwy —
Szedł staruszek raz ubogi,
A jak gołąb siwy...

Idzie — idzie wolnym krokiem,
Z czoła pot obciéra,
Stara torba wisi bokiem,
W ręku dźwięczna lira...

A gdy mija jaką wioskę
Siada przy drożynie,
Czoło kryje ciężką troskę,
Z liry piosnka płynie!

Drżącym głosem stary spiewa
Jak to dawniej było;
Słucha chłopak — słucha dziewa,
Jego piosnkę miłą:

„Hej czas bywał dawniej błogi
„W ojczystej krainie,
„Pan Kościuszko bijał wrogi
„Że krwią Wisła płynie —

„A Kiliński, szewc po prostu
„Moskwę gnał z Warszawy,
„Moskal chciał „wielkiego postu,“
„Miał więc post, lecz krwawy!

„Krwawe było tam wesele,
„Szabla była dróżką —
„Chłopom Bartosz szedł na czele
„Panów wiódł Kościuszko!

„Hej minęły, czasy złote,
„I nie wrócą może —
„Stracił człowiek żyć ochotę —
„Ta w grób kości złożę!“

Przestał lirnik — łzę ma w oku —
A lud jeszcze słucha —
Wtem wpadł chłopek wśród natloku
Jakby był bez ducha —

I wykrzyknął co miał siły,
A twarz mu się pali:
„Posluchajcie dziadku miły!
„Nasi tną Moskali!“

Hej wykrzyknął lud wesoło,
W boski cud uwierzył —
Dziad z uśmiechem spojrzał w koło,
Schylił się — i nie żył!

Gabryś z Urbanowic.

Majster Siwuń.

Powiastka
Tomka z nad Styru.

I.

Na naszej obszernej a pięknej ziemi polskiej, co to dziś już pod Moskalem, leży niedaleko miasta Radomia ładne miasteczko Pilica. Okolica tam piękna i wesoła, by dziewoja kra-

kowska, a lud dobry, poczciwy, i do pracy nałożny i do tańca ochoczy, szczery sercem i z otwartą dla każdego chatą, jak wszystek lud nasz polski, czy to z nad Wisły i Warty, z nad Niemna i Wiliji, czy od porohów Dnieprowych lub zielonych brzegów Wisły.

Niedaleko za miastem płynie wspaniała rzeka, a zwie się także Pilica. Huk tam na niej statków, czółen i czółenek, tratw naładowanych komięgami złotej naszej pszeniczki, a na każdej po kilka hożych flisaków przyśpiewujących sobie swobodno! Oj wesołoż tam wesoło! Wszędy na około ciebie fale a fale sinej wody, dalej piaszczyste brzegi, a jeszcze dalej jak oko zajrzy zielone niwy i łany żółciutkiego zboża, co jeno kołysze sobą i kołysze pełnemi kłosami, jakby paciorek miłosiernemu Panu Bogu odmawiało! Pilica płynie a płynie dalej, do Wisły, tratwy gładziutko przesuwają się po przejrzystej wodzie, i jeno flisak przyspiewuje piosenkę wesoło, od czasu do czasu ozwie się głos wioślarza, albo wypali gdzie kto z fuzyi do dzikiej jakiej ptaszyny, a huk szeroko rozbije się o wodę...

Miasteczko Pilica leży na piaskach. Będzie temu już z górą trzy dziesiątki lat, gdy na wschodniej stronie od miasta pod niewielkim sosnowym borkiem stał mały i schludny dworeczek. Mieszkał tam pan Maciej Siwuń, właściciel tego dworku i kilku gruntów niepiasczystej ziemi, pracowity gospodarz a trzeba dodać, że i krawiec na całe miasto pierwszy, a jak wielu mówiło a i ja też powtórzę, że i na całą okolicę! Bo co to było panu Maciejowi uszyć kapotę z siwego sukna z podwójnemi wyszywaniami, albo wygotować paradną sukmanę na wesele! A już jak ci oddał suknię z roboty, tobyś się w niej nie powstydził pokazać choćby u samego pana starosty na nowy rok!... Pan Kalasanty Kukawka, organista tamtejszy, co to chodził zawsze jak woziwoda ostatni, tak nieboraczysko dusił kieskę i składał białe rubelki, a przecież jak zobaczył na Wszystkich Świętych pana Onufrego Kiszkę rzeźnika w nowiuteńkiej kapocie z czarnemi frendzlami i kutasami, jakiej na całe miasto nikt jeszcze nie miał, to mu się tylko siwe oczka zaświeciły, jak to bywało zawsze za młodu, kiedy się umizgał do panny Petroneli. A gruby rzeźnik zasiadł sobie z paradą w pierwszej ławce podczas Mszy

świętej, i uśmiechał się jeno pogardliwie patrząc na zblakowaną czemerynę pana Kalasantego!... Na drugi dzień już rano pan majster Siwuń siedział z założonemi na nosie okularami za stołem i krajał gładziutkie sukienko na kapotę dla pana organisty, która miała mieć dwa razy tyle wyszywań i o siedm kutasów więcej od kapoty tłustego rzeźnika!... Za panem Kalasantym wszyscy cechmistrze Pilicy pozamawiali sobie podobniuteńkie kapoty u majstra Siwunia, a gdy na Boże Narodzenie zebrali się u księdza proboszcza, to warto było patrzeć!...

Taką to miał sławę w Pilicy pan majster Siwuń, a nie bez tego żeby jej nie miał i w okolicy. Sam pan posessor z Mirki za Pilicą przyjeżdżał co rok do niego z całą bryką dzieci (a miał ile Bogu dziękować około tuzina) i zamawiał dla całej rodziny przyodziewek, a i dla siebie kapotkę i czemerkę z lepszego sukna. A kiedy pan majster pokończył roboty i odniósł do dworu, to nie obeszło się tam bez napitku i przekąski smacznej, i bez osobnych darunków z spiżarki pani posessorowej.

Tak to jakoś szczęściło się poczciwemu panu Maciejowi, i ludzie poważali i kochali, i roboty zawsze huk, a w skrzyni spory mieszek przeszanowanego grossa. Ale ponoś jak świat światem, tak szczęścia na świecie nie łacno wyszukasz, ani łacniej wyprosisz i wymodlisz, a już jak zaświeci odrobinkę jak słonko z za marcowej chmury, to i prędzej się jeszcze wymknie, i już chyba potem szukaj wiatru w polu!...

Tak to i z panem Maciejem było. Miał on prawdać żonkę cnotliwą, dobrą, kochającą, choć do rany przyłóż, miał własny kącik na starość i chleba podostatkiem, miał szacunek ludzi, a już z robotą jak powiadam to i nie mógł się biedaczysko opędzić, ale cóż... kiedy do tego wszystkiego niedostawało im jeszcze czegoś, co rozwesela ściany najbiedniejszej chaty, co w najcięższej pracy spędza troski z chmurnego czoła i uszczęśliwia życie!... Biedny Macieisko nie miał dzieci. Już dwadzieścia i jeden latek przeżył z ukochaną swoją kobietą, a co się namodlił, co ponasprawiał kościołom i cerkwiom, a ile na msze święte powydawał, tego by już pono nikt nie zrachowałł...

Ale wszystko to jakoś nie pomagało. Pan Bóg znać odmówił już im tego szczęścia, trzeba się więc było pobożnie pogodzić z wolą Jego przenajświętszą! To też nieraz myślał sobie pan Maciej:

-- Ha!... nie dał mi Pan Bóg dzieci... niech się więc dzieje wola Jego przenajświętsza!... Mam jeszcze sporo siły i zdrowia, dziękować Bogu nie jestem kaleka, mam całe i zdrowe ręce a więc trzeba pracować choć nie na dzieci, ale dla szczęścia ludzi, by choć odrobinę pamiątkę zostawić po sobie na świecie!... — Tak sobie myślał poczciwy Maciej i wtenczas rozjaśniało mu się czoło, i ręce rzeźwiej brały mu się do pracy...

Tak to było długi czas w dworku pana majstra. Ludzie zjechali się z robotą, Maciej jedno wykończył, drugie zaczynał, i wciąż przy robocie z igłą w ręku widziano go w swojej izdebce za stołem.

Następnego aleć lata dziwnie jakieś zmiany pozachodziły w starym dworku pod sosnowym borkiem. Pan Maciej opuścił się i zaniedbywał roboty, jednym powiadał, że dolega na rękę, drugim, że już spracowany ta i nie dowidza dobrze, innym, że chciałby już odpocząć i w spoczynku spędzić stare swoje lata. Aleć do starych lat jeszcze mu było daleko, włos ledwo co zaczynał szpakowacieć, a i dziękować Bogu wyglądał by o młodych latach świeżo, rumiano i zdrowo.

To też nie tak łacno wszyscy temu uwierzyli, a pan Kasper Szelka pisarczyk z urzędu co mu to gwałtem potrzeba było nowej kapoty na wesele z panną Jagnieszką córką Onufrego Kiszki, ze złości i niechętny pono dla poczciwego pana Macieja, zaczął go coś bardzo pilno śledzić i doglądać, a gdy się go niektórzy ciekawo wypytywali, to kiwał jeno strasznie głową i milczał.

Jednej nocy, a było to jakoś już w późnej jesieni, do starego dworku pod sosnowym borkiem zajechało kilka mocno czemsić obładowanych fur. Na dworcu było ciemno choć oczy wykół, stare sosny za dworkiem szumiały i skrzypiały przeraźliwie a wiatrzysko zimny huczał i wył tak okropnie aż człeku zimno po kościach przechodziło. Pan Maciej wyszedł z małą latarką na dwór, poszeptał coś z cicha z ludźmi koło wozów

a potem razem z nimi wynosił ciężkie jakieś paki z bryk do swojego spichrzyka i składał wszystko w zapula. Potem poprzykrywał je płachtami i na dwie kłódki zamknął spichrzyk.

Niedaleko od dworku majstra po za opłotki skradał się jakić człowiek otulony płaszczem i zaglądał ciekawie, co się w zagrodzie dzieje. A gdy pan Maciej zamknął spichrzyk i niezadługo potem zagasła latarka a próżne wozy popędziły jak czarty gdzieś do lasu i znikły, człowiek ten zbliżył się do wrot, przedarł płotek i pokręcił się trochę koło spichrzyka, zerknął potem w okienko chaty, a gdy Bryś zawarczał w budzie, prędzej jeszcze przeskoczył wrota i gdzieś się podział w ciemnej nocy.

Na drugi dzień rano deszcz lał jak z cebra i na dworze zasłociło się na dobre, gdy w dworku pana Macieja na kominie pryskały smolaki, a w izbie było cieplutko i miło, jeno siedzieć a Bogu dziękować za uczciwy kątek. Majster siedział za stołem, na nos założył stare swoje krawieckie okulary i wywijał igiełką aż miło było patrzeć. Na stole, na ławce, ba nawet i na ziemi leżało huk sukna pokrajanego czyściutko, i gotowego już do igły, a wszystko siwiuteńkie i ładne aż strach!... Pani Maciejowa także nie próżnowała. Szyła czapeczki jakieś czerwone, niebieskie, to białe, a wszystkie miały po cztery rogi i ślicznuchne pawie pióro u boku!... Pan majster uśmiechał się jeno od czasu do czasu radośnie i wywijając pracowicie igiełką przyspiewywał sobie po cichu:

Mówił ojciec do swej Basi
Cały zapłakany,
Słuchaj jeno ponoś nasi
Biją w tarabany!...

Już się zszarzało dobrze na dworze a pan Maciej jeszcze siedział przy robocie z igiełką w ręku. A kiedy wstał ze stołu by zapalić światło i dorzucić polanek do ogniska, i mimochodem wyjrzał przez okno, mignęła się jakaś twarz plaskata, owinięta starannie płaszczem. Majster przeżegnał się krzyżem świętym i wyszedł na podwórko. Ale darmo szukał, bo już pod oknem nikogo nie było, jeno wiatrzysko sobie hulał jak

przedtem, sosny stare za opłotkami skrzypiały przeraźliwie i sowa zakrzyczała od dzwonnicy...

— Sen mara, Bóg wiara!... mruknął pobożnie zasiadając napowrót do roboty, a przed oczyma mignęła mu się szeroka płaskata twarz z nasuniętą na czoło czapką o zadartym czerwonym nosie i małych błyszczących oczkach. Jeszcze raz przeżegnał sie pobożnie by odpędzić licho na cztery wiatry, i zabrał się do igły i sukna. Ale przy robocie często mu stawała przed oczyma owa tajemnicza twarz co tak ciekawie zaglądała przez szyby, a czerwony nos i małe, błyszczące oczki bardzo coś przypominały panu Maciejowi pana Kaspra Szelkę, narzeczonego panny Jagnieszki.

W kilka dni potem w nocy ciemnej i burzliwej znowu kilka bryk zawalonych pakami zajechało do zagrody pana majstra i znowu toż samo się odbyło co pierwszą razą. Pan Maciej poskładał z wozów paki w spichrzyku, bryki odjechały gdzieś do lasu i głucho jeno za nimi zadudniło, i znów ten sam człowiek zawinięty płaszczem pokręcił się koło wrót i dworku majstra, a gdy Bryś w budzie zawarczał przeskoczył wrota i pobiegł ku miasteczku.

Za kościołem koło szyneczku pod „Kogutkiem“ stanął a tuż zaraz prościutko do niego zbliżał się pan Pafnucy Martynko, woźny z urzędu, człek bardzo ciekawy i plotkarz a gaduła na całe miasteczko zawołany.

— Panie Kasper a co tam nowego?... he!... — pyta po swoim zwyczaju.

A zapytany jeno pokiwał coś bardzo poważnie głową i cmoknął ustami, jak żyd, kiedy z za szynkfasu zachwala swoją szabasówkę. Pan Martynko złapał go zaraz ciekawie za poły płaszcza, z za którego wychyliła się niewielka płaskata twarz o małych świecących oczkach i długim czerwonym nosie.

Pan Kasper nachylił się do ucha pana Martynki; szepnął:

— Wielkie, wielkie rzeczy się dzieją w naszem miasteczku!... A jeszcze ciszej dodał:

— Byłem teraz koło dworku majstra Macieja!...

— No!... i cóż?... zawołał rozciekawiony pan Martynko.

— Ciekawe rzeczy!... Co nocy prawie przyjeżdża tam kilka bryk z siwem komiśnem suknem, które majster zamyka na dwie kłódki w spichrzyku. A w dzień oboje z żoną szyją, jakieś mundurki, ułanki, czapeczki krakowskie z pawiemi piórkami!...

Pan Martynko kiwnął jeno wielką swoją głową i łypnął zielonemi oczyma jakby powiadał, że już wszystko rozumie.

— To dla Polaków!... szepnął, ale tak cichutko, że go ledwie mógł pan Kasper dosłyszeć — to dla powstańców!... słyszeliście co się w Warszawie dzieje?!...

(Co się dalej stało opowiemy w przyszłym numerze.)

Pogadanka u pana organisty.

O wielbłądach.

Stary fornal Maciej miał kuferek, na którego wieku z spodniej strony mnóstwo było nalepionych obrazków i malowań najrozmaitszych. Stary Macieisko lubiał bardzo dzieci, więc też się do niego z całej wsi zlatywały — a kiedy im chciał stary wielką radość sprawić, to otwierał kuferek i pokazywał im na wieku poprzylepiane obrazki.

Kiedy raz tak przypatrywały się dzieciaki tym obrazkom, zobaczył mały Józek jedno malowanie, co przedstawiało jakieś dziwne zwierzę. Było to na czterech długich nogach, i szyję miało długą, a na grzbiecie dwa okrutne garby. Bardzo się nad tem zwierzęciem dziwowały dzieciaki, bo to ni koń ni wół — Józek pyta:

— Macieju, Macieju, a co też to za taki dziwny zwierz namalowany?

— To jest wielbłąd! — mówi Maciej.

— Ba, a co to za zwierz ten wielbłąd? — pyta dalej Józek.

— Oto ciekawyś chłopcze! — rzecze Maciej — ale ja ci tego już tak dobrze opowiedzieć nie potrafię. Ale oto daruję wam dzieci ten obrazek, idźcie z nim do pana organisty, ten wie wszystko dokumentnie, i rozpowie wam o tem dobrze.

Mówiąc to Maciej odlepił obrazek z wieka i dał go Józkowi; a chłopczyna wraz z innemi dzieciakami pobiegł do pana organisty i pięknie począł prosić, aby im rozpowiedział, co to za zwierz taki. Pan organista wziął na nos okulary, przypatrzył się obrazkowi, i tak prawi chłopakom:

— To malowanie, dziateczki kochane, wielbłąda przedstawia. A wielbłąd większe to zwierzę od największego konia i jak oto widzicie na grzbiecie dwa garby ma. Są też wielbłądy o jednym garbie na grzbiecie. Te co dwa garby mają, drabarami też zowią a te o jednym garbie dromedarami przezwane. Kiedym jeszcze był młodym, w różnych krajach na krwawych wojnach bywałem, byłem też, dzieci me miłe, aż w Afryce. A daleko to od nas ta Afryka, trzebaby nam dotąd długo a długo wędrować i jeszcze przez okrutną wodę, co się morzem zowie, tam płynąć. Kto tam iść nie potrzebuje, niech też nie chodzi i jabym był tam nie poszedł, bym był nie musiał...

A tu Wojtek poderwie:

— A czemu to, panie organisto nie radzicie tam chodzić? czy wam tam źle było, czy wam wojenka nie do smaku przypadła?

— A bodaj dobrze, mój Wojtusiu — organista na to — nie trzebać sobie wojenki życzyć, a kiedy człek ma krew przelewać, to musi wiedzieć za co, a widzicie, my tak daleko na tę wojenkę jakby z musu pośli za Napoleonem, nie mialim się tam za co bić!

— A jak tam było, panie organisto? odezwie się Walek.

— Kiedy indziej wam o tem powiem, ciągnie dalej organista, dziś wam jeno mówię, że tam jest źle, bo gorąco jak w piecu a ludzie na różne choroby jak muchy padają. Tam tedy w tych gorących krajach ja wielbłądy widział i sam też na takim wielbłądzie jechałem.

— Pan organista na takim wiebłądzie jechał? zapytał ciekawie Józek.

— Toć jechałem, organista rzecze, bo widzicie, tam wielbłądów jak u nas koni używają. Biegną one jeszcze szybciej od konia, bo przez dzień i 20 mil ubiegną a nie jeno człowieka samego taki wielbłąd uniesie, ale jeszcze wiele miechów

z ciężarem można włożyć na niego a on się spieszy, jakby nic nie dźwigał. Zaś kiedy się w drodze podróżnym bardzo pić chce, że już tam ludzieby pomarli z pragnienia na tym wielkim skwarze, a tu wody nigdzie nie ma, bo tam na kilkadziesiąt mil sama pustynia, piaski i piaski na dole a słońce okrótnie gorące na niebie — to wielbłąda zabiją, bo ma wewnątrz taką pęcherzynę, że tam wodę zimną przechowuje. Już Pan Bóg tak stworzył wielbłąda, że dużo wody pije i w żołądku chowa żeby miał na drogę, a jak wody i tydzień tam w tych gorących krajach znaleść nie może, to z tej torebki, co jest wewnątrz niego, niby sobie po trochu bierze.

— A czem się też wielbłąd żywi? — zagadnie Marychna.

— Ot! ostu a pokrzywy daj, już wielbłąd syt i wielbłądzica jeszcze ci mleka da więcej, niż krowa dobra.

— A czemu to u nas nie ma wielbłądów, kiedy takie dobre? przerwie Frącek.

— Widzicie, uczy dalej organista, za zimno u nas wielbłądom, bo one tylko żyją w gorącej Afryce i w Azyi południowej, gdzia też pustynie a gorączki wielkie. Przez te pustynie kupcy na wielbłądach towary różne przewożą, albo też mieszkańcy z jednego miejsca na drugie szybko się w potrzebie na nich przenoszą. Zaś z wełny wielbłąda grube sukno robią a ze skóry jego obówie i miechy szyją. Po miastach u nas Niemcy także nieraz pokazują wielbłądy, ale te mizeraki nie długo się na naszem zimnem powietrzu chowają.

— Ale złe pewnie wielbłądy? — mówi Staś.

— Nie, moje dziecko, wielbłąd bardzo łagodne zwierzę, odpowie organista, jeno bić się nie da. Gdy się wielbłąd zmęczy, batem go już z miejsca nie upędzisz, ale jak kto na skrzypcach albo piszczałce ładnie zagra, to się wielbłąd jeszcze porwie a dobrze kilka mil ubieży. A przytem musicie wiedzieć, że te wielbłądy tak są już wyuczone, że jak na nich mają pakować ciężar, to one przyklękają na ziemię, aby ludziom lepiej było pakowć. Ale za to też mają i ten rozum, że jak na nie bardzo dużo ciężaru nałożyć, to same pomiarkują, że tego nie udźwigną i dopóty nie wstaną z ziemi, dopóki człek ciężaru nie ujmie.

— A czy tam gdzie wielbłądy żyją, dużo jest takich pustyń okrutnych? — pyta Józek.

— Oj jużci, że nie wszędzie tam takie łany zboża i zdroje i rzeki i lasy jak w naszej ziemicy — mówi pan organista — widziałemci ja bardzo puste kraje, że to ani traweczka drobna się nie zazieleni, jeno piasek a piasek jak daleko dojrzeć możesz. Ztąd kraje te pustyniami się zowią, bo pusto tam i głucho — chyba tygrys, albo lew, albo co tam strasznie zaryczy.

A tu Józek poderwie:

— A co to za zwierzęta lew, albo tygrys, panie organisto?

A pan organista na to:

— Oj strasznie dzikie to zwierzęta, broń Boże im się pokazać, bo cię na płatki rozdrapią, później wam więcej o nich powiem, gdy na jarmark pójdę a takie malowania kupię, co tam te zwierzaki malowane będą, teraz jeno mówię, że jak te zwierzaki w onych puszczach zaryczą, to wielki strach człeka porwie, choćby też się nie zląkł lada czego. I tak ze trzydzieści albo więcej dobrych mil w tym piasku ujedziesz, a tu ni chatki, miły Jezu, ni trawki, ni kropelki wody nie znajdziesz. Z trudna się tam czasem ledwo palmowych drzewek pare i wodę trochę a łączka mała trafi: miejsca takie oazami się zowią. Największa pustynia na całej ziemi jest w Afryce, gdziem ja one wielbłądy widział i zowie się pustynią Sahara. A na tej pustyni słońce jakby sam ogień pali, a na tej pustyni jak się gorący piasek zacznie kurzyć, to jakby już koniec świata był, bo aż ciemno od tej gorącej, piasczystej kurzawy, aż słonka ani trochę dojrzeć. A kiedy tam odetchniesz, to ci ten gorący piasek aż w gardło lezie, a tak ci się mdło robi, jakbyś lekarstwa z apteki dobrze zażył. Miły Jezu, co to za burza straszliwa! Jak ta gorąca kurzawa wnet się nie uspokoi, to się wszystko żyjące stworzenie podusić musi, że ci się dobrze żal zrobi, gdy potem na takie miejsce przyjedziesz a tu same jeno trupy a trupy w piasku widzisz!

Gdy tedy kupcy i tamtejsi ludzie, co się zwą Arabowie, z towarami na wielbłądach przez one pustynie jadą, strzegą się, by ich taka burza w drodze nie napadła. A gdy taka burza wnet przyjść ma, powietrze siarką trąci, grzmot tęgi

a niebo czerwone, jakby się całe paliło. Wtedy każdy z podróżnych ucieka na wielbłądzie, co siły ma, by tam gdzie między jakie góry się dostać, albo się gdzie indziej skryć i śmierci ujść. Choćby tam który zachorował i pomocy błagał albo na drugich wołał, by trochę zaczekali, bo jego wielbład za nimi podążyć nie może, to ani się nikt nie obejrzy, bo każdy zmyka, jak może. A jak się ten piasek na dobre zacznie kurzyć, to wszystko zawieje jeszcze bardziej, niż śnieg u nas największy. Zaś kto ujść nie zdołał przed oną burzą, to się twarzą na ziemię kładzie i wielbłądy też i tak czasem z pół godziny trzeba leżeć i jak w gorącym piecu się smarzyć i prawie wcale nie oddychać, bo ktoby tego powietrza w siebie wiele wciągnął, jużby żyć przestał. A jak z godzinę trwa burza wszystkich poprzysypuje i podusi!...

A Józkowi aż się żal zrobiło i pana organisty pyta:

— Czemuż oni tam jeżdżą, kiedy tam tak źle, czemu wej do nas tu nie przyjdą, toćby im tu lepiej było?

A pan organista mówi:

— Widzisz, Józku kochany, oni się tam porodzili i tak kochają ziemię ojców swoich i wolą już tam pozostać, niż iść gdzieindziej; a wy wszyscy też pracujcie, jak możecie, a choćby wam kiedy i wielka bieda była, to ziemi waszej nie opuszczajcie, ale ją nad wszystkie ziemie kochajcie...

Jeszcze tam pan organista coś chciał dziateczkom powiedzieć, a tu stary Wieloch na Anioł Pański zadzwonił i wszyscy się do domu rozeszli.

Przysłowia.

Przykład lepszy niż nauka:
Czuć co mówisz, to mi sztuka!

Dla każdej rzeczy miejsce naznaczyć należy
Uważaj, czy rzecz każda na swem miejscu leży.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna,
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.